ROZMAITOŚCI.

Dnia 19 grudnia, Ner 51. roku 1846.

WYBAWCA.

(Ciąg dalszy.)

Wkrótce po odejściu młodego mieszczanina, napełniła się aleja widzami, a niebawem i orszak królewski w nią wstąpił. Wszyscy panowie dworscy szli pieszo, damy zaś siedziały w małych wózkach, które zewsząd otwarte i tylko z wierzchu bogato złoconemi baldachinami pokryte, ciągnione były przez lokai w liberyi dworskiéj. Królowa, piękna jeszcze, aczkolwiek nie bardzo młoda pani; miała przy boku towarzyszkę nadzwyczajnie miłego wyrazu twarzy, bujnych jasnych włosów, i dużych niebieskich oczu. Fizyjonomija królowéj wyrażała jakąś posępną i prawie bolesną powagę, która jednakowoż rozjaśniała się, a nawet niewymownie uprzejmym i słodkim uśmiechem niekiedy zabłysnęła, gdy pomiędzy kłaniającą się publicznością, tu i owdzie znajomą osobę obaczyła. Stało się to właśnie przy dostrzeżeniu margrabiny St. Georges i jéj córki. Chociaż większa część obecnych, królowę z największém uszanowaniem witała — króla nie było przy promenadzie — a osobliwie pewien tuż przy margrabinie stojący jegomość, nadzwyczajnie nizkiemi ukłonami uwagę na siebie zwracał; złemwszystkiém było także wielu gburów, co w chwili przejazdu królowéj, kapelusza nie uchyliwszy, zuchwale w oczy jéj patrzyli. Pani de St. Georges nie mogła przenieść na sobie, aby córki swojéj z niechęcią na to uważną nie uczyniła.

„Pani margrabina słusznie mówi!" — ozwał się jakiś cherczący głos w pobliżu. „To nikczemnie! niegodziwie! Tak dobrą, tak łaskawą królowę, w obec całego ludu obrażać! — A razem i tę cnotliwą, miłą, niezrównaną księżnę de Lamballe, która jak anioł-stróż zawsze jest przy jéj boku! — Nie, to nadto; mówię, to za wiele, bezecnie, podło, to nie po francuzku!"

Dopiéro teraz spojrzała margrabina uważniéj na mówiącego. Byłto mężczyzna nizkiego wzrostu, chudy, mający około lat piędziesięciu Głowę miał dziwnie niekształtną, twarz wykrzywioną, w spojrzeniu wyraz zwierzęcéj dzikości. Przykro też było widzieć, iż jedno oko o cały prawie cal głębiéj od drugiego siedziało. Jak się zdaje, pochodziło to z poprzedniego rozwiązłego sposobu życia.

„A! pan - żeto jesteś! Myślałam, żeś wyjechał do Anglii!" — rzekła margrabina, witając go jako znajomego, lecz bez zwracania nań wielkiéj uwagi.

„O, już dawno z powrotem, pani margrabino, już dawno," odpowiedział powitany. „Tylko żem dotąd tak pilnie do biurka był przykutym, wypracowując kilka broszur w celu należnego wyświecenia cnót i przymiotów naszego uwielbianego hrabi d'Artois, jako też jego wysokości, starszego brata jego. Bo mojém godłem zawsze: Burbony! Tak, Burbony nad wszystko!"

Cóżto za szczególny człowiek, moja mamo?" zapytała margrabianka po oddaleniu się wymienionego.

„Wielkie ladaco, moja kochana" — odrzekła matka ozięble. „Bawił on się niegdyś w szarlatana, sprzedawał zioła i wody cudowne, które jednak dla swojéj drogości — bo flakonik kosztował 2 luidory — mało pokupu znalazły. Późniéj, na moje prośby — gdyż mię nabiegał codziennie, mieniąc się być moim rodakiem, jako pochodzący z Neufchatel— hrabia d'Artois mianował go swoim konowałem. Nazywa on się Marat."

Tymczasem umniejszyła się ciżba, a obie damy udały się ku zamkowi. Zamek ten stał na wzgórzu i miał trzynaście pawilonów, które arkadami między sobą połączone były. W średnim, tak zwanym „pawilonie słońca", mieszkała rodzina królewska; inne, po wyobrażonych na nich dwunastu zwierzyńcowych znakach nazwane, służyły panom i damom dworskim za mieszkanie. Do jednego z tych ostatnich wstąpiła margrabina z swoją córką. Mieszkała tu jéj przyjaciołka. Zaledwie się damy ubrały, nadeszła pora, gdzie trzeba było wejść na salę gry. Już tam mnóstwo dworaków przybycia królewskiego czekało U wstępu do salonu ujrzała pani de St Georges hrabinę de Senancourt, małżonkę jednego z prezydentów parlamementowych, która zbliżywszy się do niéj, rzekła kwaśno:

„Przychodzę panią przeprosić, iż mój woźnica

poważył się wyprzedzić powóz pani. Nie poznałam dość wcześnie liberyi pani, aby mu tego zabronić. Zresztą, powinien on to był lepiéj ode mnie wiedzieć. Na każdy przypadek, poniosłam dostateczną karę, gdyż powóz mój jest zgruchotanym.»

„Również i mój woźnica na przeciw woli mojéj, dawne miejsce swoje odzyskać spieszył” — odpowiedziała margrabina. „Przyrzekam pani, iż mu dziś jeszcze należytą dam przyganę i wyraźny rozkaz, aby na przyszłość nigdy powozu pani nie wyprzedzał, chociażby ten miał to uczynić.»

Byłoby bez wątpienia jeszcze kilka uszczépliwych przymówek z obojéj strony padło, gdyby nagły ruch i szmer w sali był nie powstał, i głośne oznajmienie marszałka nie zaintonowało: „król idzie!»

Jakoż wszedł król wraz z królową, mając po przodu kilku urzędników dworskich, a za sobą księżnę Lamballe, hrabinę Polignac i grono innych pań i panów. Oboje królestwo zabawili jakiś czas pomiędzy obecnémi, przemawiając do niektórych z wielką szczérotą i uprzejmością; a potém udano się do sali gry, gdzie wszystko do banku przyrządzone już było. Skoro królestwo i damy usiedli, otwarły się podwoje i weszła publiczność. Była ona w dość znacznéj liczbie zebrana. Po niepewnie błąkających się spojrzeniach niektórych widzów, można było poznać, iż oni po raz pierwszy tu się znajdują; inni przeciwnie, spieszyli zająć miejsce za krzesłami dam, jako najlepsze stanowisko do przypatrywania się grającym. Ci byli już widocznie obeznani ze zwyczajami dworskiemi. Margrabina de St Georges i jéj córka, równie jak większa część dam obecnych, zasiadły przy zielonym stoliku. Matka grała z odmiennem szczęściem, córka bez przerwy nieszczęśliwie. Właśnieco nową taliję zaczęto, gdy wtém jakiś wpółcichy głos za margrabianką spytał: „Pozwolisz pani?” — i luidor na jéj kartę się stoczył. Panna de St Georges obejrzawszy się nieco kwaśno za siebie, postrzegła swego młodego wybawcę, który bardzo wytwornie ubrany i utrefiony, stał za jéj krzesłem. Ktoby go był widział w téj modnéj, wązkim złotym galonem bramowanéj sakni, w mankietach koronkowych, w długiéj haftowanéj kamizeli, byłby go zapewne miał raczéj za jednego z panów dworskich, niż spekulanta zbożowego. Na widok téj nieposzlakowanéj toalety, margrabiance jakby kamień spadł z piersi, gdyż mogła być już pewną, iż w ten sposób cała ta rzecz bez niepotrzebnych dopytywań ze strony przyjaciołek, niepostrzeżona przejdzie. Szczególnym trafem zmieniło się widocznie szczęście margrabianki, odkąd Hardy na kartę jéj postawił. Wygrywała raz po razu, a wkrótce nie tylko strata się powetowała, lecz nawet mała kupka złota przed Pauliną urosła. To zdało się tak przyjemne na nią czynić wrażenie, iż dziecinną radością ożywiona, z wielkiém zajęciem rozmowę z swoim sąsiadem w przestankach gry, wieść zaczęła. I ta rozmowa miała tém więcéj powabu dla niéj, gdy postrzegła, iż młody mieszczanin przy wszelkiéj swéj prostocie, był bardzo ukształconym, a nawet, co ją poniekąd niemało zdziwiło, po kilku, podług owczesnéj mody, przez Paulinę wtrąconych angielskich wyrazach, bardzo płynnie w tym języku dalszą rozmowę toczył. Gdy zaś margrabianka pobieżną o tém uczyniła mu wzmiankę, odpowiedział, iż ten język nadzwyczajnie lubi, i ma doborny zbiór dzieł angielskich, których użytkowanie z radościąby jéj ofiarował, gdyby sobie spis onych nadesłać pozwoliła.

Po niejakich dwóch godzinach skończyła się „gra królewska”, lecz zanim to jeszcze nastąpiło, wyszedł Hardy wcześniéj tak cicho, jak się pojawił, w kilku tylko krótkich wyrazach się pożegnawszy. W powrocie zajmowała się Paulina całą drogę, ku swojemu własnemu zdziwieniu, daleko więcéj myślą o młodym spekulancie zbożowym, niż o znacznym dla jéj kasy kartowéj przybytku ośmdziesięciu luidorów. Dla czego? — sama ona sobie sprawy zdać nie umiała. Był on przystojnym, lecz pomiędzy jéj znajomymi znajdowało się daleko więcéj przyjemnych i pięknych mężczyzn. Nie powiedział on jéj ani jednego pochlébstwa, rozmowa jego była wcale próżną owych modnych kalamburów i dowcipów, a nawet daleko poważniejszą, niż wszelka inna, jaką jéj się dotąd z ust mężczyzny słyszeć zdarzyło, a przecież mocno ją ona zajmowowała. Nareszcie gotowa była sama na siebie się gniewać, iż mogła tyle nad osobą — handlarza zbożowego się zastanawiać. Ztémwszystkiém nie ustało to natrętne zastanowianie się wprzódy, aż margrabina, wróciwszy do domu, kazała przywołać woźnicę, aby stosownie do uczynionego hrabinie de Senancourt przyrzeczenia, surową mu dać przyganę.

»Nie umiém ci wyrazić, mój kochany” — rzekła pani de St. Georges do woźnicy, słuchajacego ją z bezwstydną obojętnością — „ileś mi sprawił kłopotów. Pominąwszy niebezpieczeństwo na jakieś nas naraził, nabawiłeś mię jeszcze nieprzyjemności u hrabiny de Senancourt, któréj liberyję powinienbyś znać przecież; rozkazuję ci tedy, zawsze odtąd ekwipaż jéj naprzód puszczać.»

„Proszę pani margrabiny” — odpowiedział woźnica oziębłe — „Wszak to właśnie dla tego, że znam liberyję hrabiny, wyprzedziłem jéj powóz, zawsze go wyprzedzać będę, gdyż honor mój tego żąda.»

»Jakto, honor?” — odrzekła margrabina — »Nie rozumiem.»

„W saméj rzeczy, jaśnie pani! Reputacyja moja ucierpiałaby na tém, gdybym powóz hrabiny de Senancourt naprzód puszczał. Mąż jaśnie pani był

gubernatorem Bretanii, a jaśnie pani masz prawo bywać przy „*petit coucher*” królowéj. Hrabia de Senancourt był tylko prezydentem parlamentowym w Rennes; hrabina bywa tylko na »*grande entrée*”, a w ogólności cała ta rodzina liczy się tylko do »*noblesse de la robe*”; i nie pokaże się na woźnicy margrabiny de St. Georges, pani na Froulay, Senanges i Armentières, aby mu powóz szlachcianki drugiego rzędu, pierwszeństwo odbiérał.”

Margrabinie wydał się ten etykietowy rygoryzm jéj woźnicy dość śmiésznym, wszakże nie dała tego po sobie poznać, lecz zachowała wszelką powagę, i rzekła daléj:

„Przecież musisz już przystać na to, gdyż oświadczyłam hrabinie, iż jéj zawsze naprzód jechać dozwolę.”

„Jaśnie pani nie powinna była tego czynić” — rzekł Henrion sucho. »Jestto dla mojéj reputacyi ze szkodą. Jedynie aby jéj nie ubliżyć, przyjąłem służbę u pani margrabiny, chociaż jeden z rajców parlamentowych znaczniejszą płacę mi dawał. Ale ponieważ jego rodzina dopiéro po roku 1400 uszlachconą została, a przeto nawet prawa wielkiego »*entrée*” nie ma, dla tego nie chciałem u niego służyć.”

»Bądź co bądź, muszę dotrzymać słowa hrabinie” — ozwała się pani St. Georges niechętnie — „i rozkazuję ci, ekwipaż hrabiny de Senancourt naprzód puszczać.”

„Żałuję mocno, że tego rozkazu usłuchać nie mogę” — odpowiedział Herion zuchwale. — ”Trudno, dać mi sobie odebrać reputacyję! A wszyscy moi koledzy w służbie wysokiéj szlachty, mieliby mi za złe, gdybym na takie upokorzenie przystał.”

»Jak ci się więc podoba!” zawołała margrabina gniewnie — „Możesz wybiérać: albo słuchaj, lub szukaj sobie służby.”

„Już wybrałem” — ozwał się Henrion porywczo. »Jestem gotów zdać w téj chwili ekwipaż memu następcy! Ba, jeszcze co! Zapewne, jeżliby wszystkie uczciwie nabyte i przechowane przywileje, w ten sposób znieważane być miały, to wreszcie będzie miał słuszność nasz sąsiad, twierdząc, iż zbliża się początek końca.”

Margrabina skinęła ręką; woźnica wyszedł.

Dla Pauliny była ta cała scena tak śmiészną, iż po oddaleniu się Henriona, głośnym śmiéchem parsknęła, a w końcu i margrabina chcąc nie chcąc, za jéj przykładem poszła.

W dzień późniéj, oznajmiono, iż p. François Hardy składa uszanowanie i przynosi pannie margrabiance spis książek. Lubo on ten spis już był oddał służącemu, a sam natychmiast miał odejść, kazała go przecież margrabina prosić, gdyż chciała mu jeszcze raz za wczorajszą przysługę podziękować. Uczyniła to z największą uprzejmością, również i Paulina rozmawiała nie bez zajęcia z młodym człowiekiem, którego poważne, skromne, a ztémwszystkiém, bynajmniéj nie lękliwe ani zakłopotane znalezienie się, zaszczytnie go od wszystkich znajomych jéj możnych, modnych paniczów odznaczało. W toku rozmowy wspomniano też o Henrionie, a margrabianka opowiedziała ze śmiéchem komiczną scenę wczorajszą. Hardy słuchał jéj z uwagą, a w końcu rzekł spokojnie:

»Niedorzeczność tego człowieka, wydaje mi się nieco wprawdzie skrzywionem, ale poniekąd wiernem odzwierciedleniem społecznych waśni naszego nieszczęśliwego czasu Wszyscy zostają tu w jakimś stanie chorowitego rozdrażnienia, wszyscy czują się czemkolwiek w swojém samolubstwie urażeni, każdy radby do upadłego najbłachsze świecidełko swego towarzyskiego przyboru, przeciw wszelkiéj napaści bronić, najmniejszego otroczka zeń nie poświęcić, a o powinnościach, do jakich sprawiedliwość, a nawet konieczność, jego samego względem innych obowiązuje — o tém, nikt ani pomyśli. Sługa pani, nie uznaje w swojém szalonem zaślepieniu rozkazów, których usłuchanie jest jego piérwszym i jedynym obowiązkiem, a nawet własną korzyścią; ale postępujeż on sobie w tém dziwaczniej i nierozważniéj, niż młodsi członkowie naszéj szlachty, którzy aby się do mody zastosować, tak szumnie republikańskie instytucyje Ameryki wychwalają, którzy powagę i władzę tronu, zamiast owszem go wspiérać, sami na ślepo podkopują, a którzyby przeciez rzewny lament wznieśli, gdyby ten tron, ich własną nierozsądną dążnością wywrócony, całą sztuczną budowę ich szczęścia, swemi gruzami zasypał? — Ci młodzi, repnblikańscy panicze, staną się może jeszcze kiedyś — lecz gdy już niestety, za późno będzie, — gorliwymi rojalistami, a pani ultra-arystokratyczny woźnica, gdy okoliczności i własne jego widoki po temu się złożą, wystąpi może na czele rewoltującéj zgrai pospólstwa.”

Długo jeszcze w ten sposób mówił François Hardy o najważniejszych zjawiskach czasu, o tém powszechném niezadowoleniu, które prawie wszystkie stany społeczeństwa ogarnęło, a które każdy według swego własnego zdania i poznania, jużto téj jnż owéj przypisywał przyczynie, które jednakož zarówno czuli wszyscy, jako owę ciężką zaduchę, poprzedzającą zwykle wybuch okropnéj burzy. Wprawdzie rozważał i nasz młody mieszczanin tę całą sprawę, głównie ze stanowiska rozwoju narodowych instytucyj, nie tająć bynajmniéj nadużyć, które całą zawiłość stosunków sprowadziły, a nawet u spokojnych i rozsądnych mężów życzenie zupełnego przeistoczenia administracyi wywołały; wszakże kończył on wynurzeniem nadziei, że ta przemiana da się przecież przeprowadzić spokojnie, drogą prawa, i bez

zbytecznego nadwerężenia czyjegokolwiek dobra. Dla margrabiny i jéj córki, była ta mowa zupełnie nową, niesłychaną rzeczą. Żyły one dotąd wyłącznie w sferze arystokratycznego towarzystwa. Tam zaś, wszystko dawne, zwyczajowe, ód wieków istnące, wydawało się w uroczém opromienienin, a chętka zatarcia, lub tylko przyćmienia choćby jedynego promyka tego blasku, uchodziło za świętokradztwo; a ktokolwiek przeciwne zdanie wyznawał, był demagogiem, buntownikiem, wyrzutkiem. Wzmagające się między wyższą szlachtą stronnictwo „Amerykańskie” miano za nic, i tylko sobie drwiono z niego. Prócz kilku entuzyjastów, którzy jak mniemano, nie zasługiwali na zbyteczną uwagę, cała reszta, zdawała się być niczém inném, jak tylko garstką błaznów modnych, którzy się dziś dla »republikańskich instytucyj” i „wolności ludu” równie spieszno entuzyjazmują, jak się wczoraj dla zwyczajów angielskich, dla tancerek, koni i psów entuzyjazmowali. Zajmowało to margrabinę i jéj córkę, słyszeć młodego, światłego człowieka z ludu, mówiącego o tém, co się przygotowywało, co każdy niepowiadomie przeczuwał, a przecież jasno wyrazió nie umiał; zapuszczano się w wzajemne roztrząsanie, a tak nie dziw, iż pani St. Georges ani przez myśl nie przeszło, aby sobie tém, w jakimkolwiek względzie ubliżyć miała, że panu François Hardy, swojemu sąsiadowi, wybawcy z niebezpieczeństwa życia, pozwoliła niekiedy bywać u siebie, dopóki jeszcze zostanie w Wersalu, lub gdy przyjedzie z Paryża, aby tutejsze magazyny swoje oglądnął. Zwolna ułożył się ten stosunek nieznacznie coraz uprzejmniéj i przyjaźniéj. Młody mieszczanin odwidzał margrabinę czasami, chociaż tylko w kilkumiesięcznych przerwach, o ile że jego rozległe spekulacyje handlowe, rzadko mu z Paryża oddalać się pozwalały. Ile razy jednak się zgłosił, bywał zawsze od matki i od córki mile widzianym. Częścią zachowywał on się zawsze tak ściśle w granicach zwyczajów i form towarzyskich, o przekroczeniu onych z jego strony, ani myśli nawet przypuścić nie wypadało; przytém i owe poruszenia ludu, które jakby szum dalekich grzmotów, straszliwy wybuch politycznego wulkanu poprzedzały, już się były pojawiać zaczęły, a margrabinę obchodziło żywo, usłyszeć z wiarogodnych ust prawdziwe zdanie o wyścigających się nowinach i zaszłościach codziennych. Niestety, nie miało się to na samém skończyć słyszeniu! Społeczna burza nadciągała coraz bliżéj i bliżéj, a wreszcie nastąpił ów szkaradny pochód, w którym motłoch paryzki swego monarchę i swoję monarchinią wsród wściekłego poryku i urągowiska, z zamku Wersalskiego do Paryża sprowadził.

Tych kilka dni trwogi, jakie margrabina tu przeżyła, ta okropna zgroza, jaka ją przejęła, gdy ujrzała przed królewskim powozem krwawe głowy dwóch młodych, znajomych sobie oficerów z gwardyi przybocznéj, na wysokich tykach niesione, a w około powozu królewskiego kupę pijanych bab wyjących i pląsających — to wszystko sprawiło tak przeraźliwy skutek na jéj umyśle, iż już nie sądziła się być bezpieczną w Wersalu, i powzięła zamiar jak najspieszniéj zamieszkać w Paryżu. Tam, zdało się jéj, jako w stolicy napełnionéj prawie milijonową ludnością, będą mogły dwie kobiety daleko niepostrzeżeniéj bawić niż w Warsaln, gdzie je prawie każde zna dziecię. W tym celu poczyniła już nawet stosowne do tego przygotowania. Sprzedała powóz i konie, odprawiła służących, i tylko jednę wierną pokojowę przy sobie zatrzymała. Gdyby jeszcze tylko niewielkie mieszkanie w jakiéj ze spokojniejszych okolic miasta, nająć można było, sądziła się margrabina wten sposób dość być bezpieczną. Gdy więc jednego razu François Hardy, po długiéj niebytności, znowu w r. 1791 ze stolicy do Wersalu przyjechał, oznajmiono mu ten powzięty zamiar.

Młody mieszczanin pochwiał na to wątpliwie głową.

»Radziłbym pani margrabinie nie czynić tego” — rzekł ponuro. „Nasza piękna rewolucyja — tak ją nazywam, ponieważ spodziewałem się po niéj najszlachetniejszych owoców, pokładałem na niéj najświetniejsze nadzieje — ta piękna rewolucyja, jest dziś z gruntu zepsutą. Przelano już strumienie krwi niewinnéj, i więcéj jeszcze jéj popłynie, aż wreszcie mordercy sami w jéj nurtach utoną. Obawiam się dni okropnych. Racz pani przeczytać ten dziennik.” — To mówiąc, dobył kilka numerów pism owczesnych. „Znajdziesz tam odezwy, wzywające do buntu, rabunku i mordów, z taką śmiałością, jakiéj dotąd żadnego nie było przykładu. W numerze wczorajszym »Przyjaciela ludu” żąda redaktor tegoż pisma — sam się „ojcem *Sansculotte*ów” nazywający — trzech kroć stu tysięcy głów, dla utrwalenia podnóża posągu wolności; w dzisiejszym zaś numerze, uznaje już potrzebę wystawienia ośmiu set szubienic, aby na nich całą szlachtę, wszystkich ministrów, i wszystkich bogaczów wywieszać.”

„I jakże się nazywa ten piekielny opętaniec?” zapytała margrabina ze zgrozą.

„Jestto” — odrzekł Hardy — »dawny konował hrabi d'Artois, niejaki Marat.”

„Niepodobna!” — zawołała margrabina zdumiona — »Wszakże ten człowiek był niedawno najzagorzalszym rojalistą. Zapewne się pan mylisz, panie Hardy. Miałam na myśli owego doktora Marata, coto uzdrawiającą cudowną wodę i olejki sprzedawał, coto szumną pochwałę na...«

»Hrabi d'Artois i brata jego pisał” — dokończył tamten — »Jestto ten sam Posłuchaj pani, co on

w tym numerze o swoim rojalizmie i o swojéj cudownéj wodzie prawi:"

»Mówią, iż byłem rojalistą! Wierutne kłamstwo. Pozwoliłem sobie drwić ze dworu i szlachty. Dla tegoto ogłuszałem moją cudowną wodę. Delikatne paniątka piły ją z wielkim apetytem, a ja śmiałem się serdecznie; ale dziś już inaczéj!«... Zmieniłem metodę, i przepisuję im dziś krwawą kuracyję, a ta im lepiéj posłuży."

„Nikczemnie! Niegodziwie!" — ozwała się margrabianka, spoglądając na matkę. »I ten człowiek pełzał ci u nóg, mamo, abyś mu miejsce u hrabi d'Artois wyjednała."

„Jako? Znasz go więc pani?" — przejął Hardy żywo. — »W takim razie jeszcze bardziéj odradzam pani, sprowadzać się do Paryża. Marat jest tam teraz wszechwładnym."

„I dla tego mi pan odradzasz?" — rzekła margrabina zdziwiona. „Wszakże będziemy tam żyć w takiém odosobnieniu, iżby się nikt o nas — dwie spokojne kobiety, nie mógł troszczyć. Gdyby jednakże coś niebezpiecznego zaszło, wtedy udałabym się do Marata, a władza jego byłaby nam bardzo pomocną."

„Tylko w takim wypadku, jeżli on już o pani zupełnie zapomniał, możesz pani być spokojną!" przerwał Hardy. »To zaś, żeś pani tego nikczemnika w jego poprzedniém poniżeniu widziała, powiększa owszem obawę moję. Jeżli pani sprowadzisz się do Paryża, a on panią obaczy i przypomni sobie swój stan dawny, natenczas zginęłaś niezawodnie."

„Nie, panie Hardy" — odrzekła margrabina z uśmiechem „Byłeś zawsze nieco tetrykiem, a teraz jeszcze większe o ludziach powziąłeś uprzedzenie. Takiego potworu, o jakim pan tu roisz, nié ma na świecie. Marat może być obłąkańcem, nawet okrutnikiem, lecz i taki przecież będzie szanował rękę, która mu niegdyś kawałek chleba podała."

»Jestto obłąkaniec!"— odpowiedział Hardy— „lecz z namyśloną rozwagą, a przeto nie dający się tak łatwo żadném uczuciem wzruszyć! Dla tego raz jeszcze powtarzam pani, iż wszelkie zbliżenie się do niego, grozi wielkiem niebezpieczeństwem! Sądzę więc, iż byłoby najdoradniéj, gdybyś została w Wersalu, lub wyprowadziła się do któregokolwiek miasteczka na prowincyi Jeżli zaś koniecznie w Paryżu chcesz zamieszkać, tedy ofiaruję jéj mój własny dom na mieszkanie. Moja dzielnica obrała mię członkiem gminy, a ja przyjąłem ten wybór, aby ile w mocy pojedyńczego człowieka być może, złemu zabiegać. Nie mam ja wprawdzie wielkiego znaczenia u Jakubinów, uważających mię za umiarkowanego, co w ich oczach, jest prawie tyle, co zbrodnia; zlémwszystkiem wiedzą oni, iż większa część moich ludzi bywa na zgromadzeniach Cordelier'ów, i nie dałaby mi tak łatwo krzywdy wyrządzić. Jeżli pani zatém raczysz przyjąć moje dobre chęci, i tę, jakkolwiek słabą obronę, którą pani dać jestem w stanie....."

„Nie, panie Hardy" — przejęła mu margrabina. „Dla nas nie powinieneś się kompromitować; a obrony swojéj możesz nam zawsze w razie potrzeby nie odmówić. Chociaż szczérze mówiąc, jeszcze dotąd nie wierzę, abyśmy w niebezpieczeństwie zostawały. Bo i czegożbyśmy miały się obawiać? Dwie słabych sił kobiety, obce wszelkiéj polityce, cóżby one komu zawadziły?"

»Ha, dobrze. Ale przynajmniéj tyle mi pani przyrzecz, iż będzież ile możności unikała wszelkiego spotkania się z Maratem, i — złóż pani na jakiś czas swój tytuł i nazwisko. Jedno i drugie, może jéj tylko zaszkodzić."

„Co do piérwszego"— rzekła margrabina— »chętnie panu przyrzekam. Nie pragnę ja bynajmniéj widzieć człowieka, o którym nie wiém, czy raczéj mam nim gardzić, czy nad nim ubolewać Co zaś do drugiéj prośby" — dodała pani de St. Georges dumnie — »nigdy nie zaprę się imienia, które ja, i cała moja rodzina, z honorem zawsze nosili."

Hardy ukłonił się w milczeniu. Chciał jeszcze coś mówić, ale stłumił to w sobie, i ozwał się tylko z tą prośbą, aby mu wolno było odwidzać margrabinę w Paryżu, i udzielać jéj wiadomości, któreby dla jéj bezpieczeństwa użytecznémi być mogły.

Za kilka dni, były już matka i córka w stolicy, lecz wkrótce niestety potwierdziło się aż nazbyt, iż młody ich przyjaciel miał słuszność, nie radząc im mieszkać w Paryżu. Okoliczności pogorszały się z dnia na dzień. Zaszła nieszczęsna ucieczka króla do Varennes, mówiono już o złożeniu z tronu i uwięzieniu Ludwika XVI. Marat, schroniony w podziemiach kościoła Cordelier'ów przed pociskami Żyrondystów, którzy już uznawać zaczęli, iż walczą z powrozem na szyi; miotał ztamtąd odezwy poburzające lud do mordu i pożogi. Stronnictwo jego między najrozuzdańszą częścią pospólstwa, wzmagało się z każdym dniem w coraz większą liczbę i zapamiętałość. Niebawem mógł on znowuż publicznie występować.

Na przestrogi naszego młodego mieszczanina a teraz już »obywatela", który swoje możne przyjaciółki w ich małém, przy jednéj z najodleglejszych ulic najętém mieszkaniu, często odwidzał; unikała margrabina i jéj córka wszelkich odwidzin, które nie zdawały się byc koniecznie potrzebnémi; lecz obiedwie miały sobie za niegodną bojaźliwość, zaniedbywać przyjacioł, z którymi niegdyś w dość ścisłych żyły stosunkach; a tak zdarzało się, iż bywały u nich od czasu do czasu osoby ze dworu, opowiadające im ze łzami w oczach o smutném życiu w Tuileryjach. Równie jak w r. 1789

stronnictwo „Amerykańskie” najprzód Franklinowi biło pokłony, póżniéj Jana Jakóba Rousseau uwielbiało, a wreszcie jego „*contrat social*” za posłannictwo rodu ludzkiego ogłosiło; tak we dwa lata późniéj przyszła kolej na ubóstwienie Woltera. Przyrządzono wspaniałą uroczystość. Popioły »króla filozofów” miały być złożone w Panteonie, i zawezwano cały lud do przeniesienia ich tamże w świetnym tryjumfalnym pochodzie. Od kilku tygodni mnogie już o tém dziwne wieści krążyły. Każdy rad był widziéć tę apoteozę. Jak słychać było, i jak w »Przyjacielu ludu” czytano, miał ten obrzęd swoją wystawnością, poezyją i znaczeniem, przewyższyć wszystko, co w Paryżu kiedykolwiek w tym rodzaju widziano. Nadewszystko wzbudzały ciekawość zapowiedziane figury alegoryjne, odpowiedne głównym piśmiennym utworom Woltera, mające w uroczystym orszaku towarzyszyć pochodowi. Wielbiciele poety oczekiwali czegoś nadzwyczajnie wzniosłego; jego przeciwnicy wróżyli wielką niedorzeczność. Margrabina, która do tych ostatnich należała, wcale téj apoteozy widziéć nie pragnęła, ale Paulina, wielbicielka autora „Mahometa” »Zairy”, nalegała na matkę, aby się udały do mieszkania pewnéj przyjaciołki, którędy ten orszak tryjumfalny miał przechodzić. Tak zbliżył się dzień naznaczony.

Ponieważ owa przyjaciołka dość blizko mieszkała, przeto nie widząc potrzeby brania powozu, poszły tam obie damy pieszo. Godzina o któréj obrzęd żałobny miał się rozpocząć, już była dawno przeminęła, a ztąd cała ludność miejska była już w ruchu. Gdy tedy margrabina z córką chciały przejść przez mały plac przed domem swojéj znajoméj, otoczyła je nagle tak tłumna masa ludu, iż niepodobieństwem było kroku daléj postąpić. Zarazem dały słyszeć się okrzyki, iż pochód żałobny już nadciąga. Tak też było w istocie; a zatém nic margrabinie i córce innego nie pozostało, jak zatrzymać się na miejscu, gdzie właśnie były stanęły. Zostawały więc obie w takiéj ciżbie, iż ledwie ramionami ruszyć mogły. Na ogromnym, sześcią końmi ciągnionym wozie, przed którym szły oddziały gwardyi narodowéj; wznosił się wysoki, niebieskim aksamitnym całunem zaścielony katafalk, a nad nim na kilku ozdobnych słupach, wytworny baldachin, także niebieskim aksamitem powleczony, i podobnież jak ów całun, złotémi gwiazdami zasiany. Cały powóz i słupy baldachinu były grubo złocone. Aż potąd nie widziano w tém nic dziwnego ani osobliwszego, lecz co daléj nastąpiło, było w najwyższym stopniu śmiészne i dziwotworne. Na katafalku leżała trafnie podług natury wyobrażona figura woskowa w stroju rzymskim, przedstawiająca Woltera. Z ogromnéj czarnéj peruki wyglądała drobna, z uderzającém podobieństwem oddana twarz filozofa. Rysy jéj miały w sobie coś z orła i kota morskiego: od orła bystre, przeszywające oko, od kota, wykrzywiony, przedrzeźniający się wyraz ust i policzków.— Idący tuż za powozem orszak, zdawał się zrazu być kupą masek. Składał on się z postaci głównych osób, występujących w trajedyjach Woltera. Grecy, Rzymianie, Babilończykowie, Mahometanie, słowem wszystkie poetyczne istoty z dzieł Wolterowskich szły ramię w ramię, ręka w rękę, za tryjumfalnym wozem swojego twórcy. Jeżli ten pomysł sam z siebie był już dość komicznym, tedy postawa owych Greków, Babilończyków, jeszcze bardziéj śmiésznością go przechodziła. Na pierwszy rzut oka, można było w nich poznać bohatérów *de la halle*, jakoto rzeźników, majtków sekwańskich, a w kobietach jeszcze coś więcéj. Nadto zdało się, jakby niektórzy z nich, dla dodania sobie natchnienia, łyknęli byli gorzałki albo wińska kwaśnego; gdyż tylko téj jedynéj okoliczności można było przypisać, że »Brutus” od czasu do czasu poblizkiego »Mahometa” z rzewném aż do łez rozczuleniem całował, a „Orest” do idącéj obok siebie nadzwyczajnie grubéj „Semiramidy” tak nieskromnie się umizgał, iż „Kandid” i „Dziewica Orleańska” — gdyż romans i epopeja miały także swoich przedstawicieli — kilką zamaszystémi w bok i w łopatki szturkańcami, zapały jego pohamować musieli. I stało się to w sam czas, gdyż zaperzona „Semiramida” już się zamierzała „*de lui flanquer une douzaine de souflets*” — dać mu z tuzin policzków, jeżli swoich zalot nie zaniecha.

Jakkolwiek śmiésznem to wszystko naszym damom się wydawało, przecież miały one obaczyć jeszcze daleko ciekawszą niespodziankę. Właśnieco przejechał był wóz tryjumfalny, a grupa alegoryczna znajdowała się tylko o dwa kroki opodal od nich, gdy przypadkowie melancholijny Brutus ku margrabinie i jéj córce się obrócił. I kogoż to one ujrzały! Byłto Henrion! Henrion, spity jak bela, w todze, przedstawiający oswobodziciela Rzymu z pod jarzma cezaryjańskiego. Trudno się było nie rozśmiać na ten widok, i w istocie też dopuściły się nasze panie tego występku. Więc ów jego hyperarystokratyzm, jego rygoryzm etykietowy, ustąpiły tak wygórowanemu republikanizmowi! Przekonały się o tém margrabina i jéj córka jeszcze dokładniéj, gdy Henrion, obrażony ich śmiéchem, ze złością krzyknął: »Śmiejcie się, śmiéjcie, wy przeklęte arystokratki! Wnet wy inaczéj śpiéwać będziecie!»

„Aż się od oburzenia wstrzymać nie można” — rzekła margrabina po angielsku do swojéj córki, po oddaleniu się pochodu — „jak podłych i niedorzecznych środków ci podżegacze używają, aby działać na pospólstwo. Możnaż sobie coś śmiészniejszego i nędzniejszego nad tę maskaradę wystawić?

I toż nazywa ów Marat w swoim »Przyjacielu ludu» narodową »apoteozą« największego filozofa naszego wieku«, a samo widowisko »uosobieniem poezyi i najwytworniejszego smaku!» Niepodobna przypuścić, aby on sam był tak głupim i bez wszelkiego - smaku, iżby temu mógł wierzyć, a przeto jestto wraz z jego niewdzięcznością dla rodziny królewskiéj, nowym dowodem, co to za niegodziwy człowiek. Jakże sobie wyrzucać muszę, iż takiego człowieka protegowałam.«

»Spodziewam się, moja damo« — ozwał się nagle tuż za margrabiną jakiś znajomy głos — »iż te wyrzuty znacznie się umniejszą moją protekcyją, która pani dziś łatwo potrzebną stać się może. Gdybym w »Przyjacielu ludu« — albo nawet i w téj saméj chwili — tylko dwoma słowy nadmienił, iż dwie damy szydziły z pogrzebowéj uroczystości na cześć boskiego Woltera, i »śmiészną, nikczemną maszkaradą« ją nazwały, i że te damy są zajadłémi arystokratkami i znanemi nieprzyjaciołkami ludu, jedném słowem: margrabiną i margrabianką de St. Georges, gdybym dorzucił to pytanie: czyby nie dobrze było, powiesić je na owym palu od latarni? — i cóż moje panie myślą? czy mowa tego, »niegodziwego człowieka« tego »łotra pozostałaby bez skutku?»

Pani St. Georges i jéj córka struchlały, poznawszy w szkaradnych rysach mówiącego, tęż samę osobę, o któréj właśnie wzmianka była. Marat zdawał się postrzegać ich poruszenie, i cieszył się niém przez chwilę, spoglądając na nie z uśmiechem.

»Idźcież sobie, głupie gąski, pókiście całe« — zawołał wreszcie, przechodząc do swoich ulubionych wyrazów, jakich codziennie w »Przyjacielu ludu« używał. »Powąchajcie wódki lawendowéj, aby blade lica wasze znowu poczerwieniały. Ale strzeżcie się, pokazywać mi się na oczy, wy arystokratki! Albo wypłatam wam psotę, jak już nie jednemu dworakowi, ministrowi, i tym podobnym osłom wypłatałem!«

Chociaż mowca stłumił nieco swój głos skrzeczący, przecież zwrócono nań wnet uwagę, poznano Marata, i zewsząd zabrzmiały oklaski i wykrzyki: »Niech żyje ojciec Nago-nożnych!« — »Przyjaciel ludu, obywatel wielki, niech żyje!«

Pani i panna St. Georges, przejęte zgrozą, zgubiły się w natłoku.

Przez długi czas nie pokazywały się nigdzie publicznie. Spotkanie z Maratem i doznany z tego powodu przestrach, utkwiły im za nadto żywo w pamięci. Również i Hardy ciągle im powtarzał: iż tylko najściślejsze odosobnienie zabezpieczyć je może, i że przedewszystkiem unikać należy wszelkiego nie koniecznie potrzebnego widywania się z osobami, które w bezpośrednich stosunkach z dworem zostawały. Margrabina uznała słuszność tych uwag, przyrzekła też ściśle podług nich działać; wszakże mocnoby ją to było bolało, gdyby jéj przyjaciele u dworu, a mianowicie rodzina królewska, do któréj ona duszą i ciałem przywiązaną była; to jéj postępowanie z fałszywego sądziły stanowiska. Znając dobrze księżnę de Lamballe, postanowiła pani de St. Géorges napisać do niéj i wyłożyć jéj otwarcie powody swego postępowania. Uczyniła ona to w liście, wyrażającym zupełną uległość dla sprawy królewskiéj, i tém zakończyła: iż odosobnienie jéj potąd tylko trwać będzie, póki się nie nastręczy nadzieja, usłużenia w czémkolwiek domowi królewskiemu. Gdyby to nastąpiło, tedy prosi margrabina księżnę Lamballe, dać jéj znak tylko, a natenczas ona, bez najmniejszego względu na swoją własną osobę, pospieszy oddać wszystko na usługi dworu, a nawet i życie, swoim ukochanym monarchom w ofierze złoży.

Przeląkł się Hardy, gdy mu margrabina o tym wysłanym już liście wspomniała.

»Nie ganię ja poświęcenia pani» — powtarzał kilkokrotnie — »może ja sam, na miejscu pani, podobniebym postąpił; ale nie powinnaś pani była tego pisać. Wtrącasz przez to siebie i córkę bezużytecznie w najsroższe niebezpieczeństwo.«

Wreszcie nadszedł nieszczęsny 10ty sierpnia. Okropności dnia tego są wiadome. Po wymordowaniu Szwajcarów, wpadły zgraje pospólstwa do pałacu królewskiego, i wszystko, co w nim było, zostało bez różnicy wieku, płci, stopnia — w pień wycięte. Marszałkowie dworu, jako też lokaje i kuchciki, padli ofiarą zajadłości pospólstwa. Wszędzie po parkietach, po marmurowych schodach płynęła krew strumieniem, leżały nagie, najszkaradniéj pokaleczone trupy, lub pojedyncze porozrywane członki ludzkie. Porozbijano wszystkie sprzęty, powyłamywano szafy, porozwlekano, co się unieść dało, lub zgruchotawszy, przez okna wyrzucono. Rybiarki i przekupki obdzielały się szatami królowéj i księżniczek, zdobiły swoje we krwi pomordowanych umoczone ręce zrabowanemi pierścionkami, i siedząc na trupach zabitych, piły z srébrnych naczyń nocnych, wina królewskie. Podłożono ogień pod przyległe budynki, cały plac karuselu gorzał w jasnych płomieniach. W ogrodach Tuilerijów igrały dzieci odciętemi głowami i członkami pomordowanych. W każdéj altanie, u stóp każdego drzewa, u podnóża każdego posągu, leżały trupy!

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo - przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 49ty i zawiéra: 1) Bernemana uprawa wina około budynków, murów, chodników i drzew (Dokończenie.) 2) Poprawiona brona; 3) Nawozy końskie, owcze i inne; 4) Uwagi dotyczące się chowu bydła; 5) O lucernie. Sekret przeciw głowni w pszenicy; 6) Nowe towarzystwo agronomiczne; 7) Bawełna zastępuje proch.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 25ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Ona była niewinna. Powiastka. Przez Władysława Zawadzkiego. (Ciąg dalszy.) 2) Dziewica z Koryntu. Przez A. Gorczyńskiego. Wierszem. 3) Wystawa obrazów w Paryżu, w roku 1846. Przez Konrada Szlegel. (Dokończenie.)

Z Warszawy: *Bibljoteka warszawska* za miesiąc grudzień, zawiéra: 1) Starożytności i dzieje czeskie. Wyjątek z dzieła o Czechii przez E. C. 2) Wizyja króla Jana Kazimierza. Legenda przez A. A. Kosińskiego. 3) Ks. Hugona Kołłątaja korespondencyja listowna z Tadeuszem Czackim. Rozbiór przez Teodozego Sierocińskiego. (Dokończenie). 4) Ezechiel. Scena liryczna według pisma św., przez A. Słowikowskiego. 6) Rozmaitości. 6) Kronika literacka — zagraniczna — bibliografliczna. Uwiadomienie od Redakcyi. Dostrzeżenia meteorologiczne za miesiąc październik.

Ministeryjum sztuk pięknych — zapewne piérwszy przykład tego rodzaju — ma być obecnie we Francyi utworzone. W tym celu zostanie zarząd królewskich muzeów, z rubryki listy cywilnéj wyjęty,

a osobnemu wydziałowi ministeryjalnemu poruczony, który wyznaczonémi z kasy rządowéj funduszami, dość skąpo teraz wyposażone muzea, wzbogacać będzie.

Sposób kierowania balonem został tedy, jak słychać, przez pewnego Belgijczyka; Dra. Van Hecke w istocie wynaleziony. Nie wchodząc w roztrząsanie nieomylności tego wynalazku, podajemy tu ustęp z dziennika belgijskiego, który piérwszy tę wiadomość ogłasza: »Dr. Hecke uznał niepodobieństwo stérowania łodzi przeciw rzece, pod wodę. W takiém samém bowiem położeniu znajduje się balon w powietrzu. Pan Hecke przekonał się, iż żeglarstwo napowietrzne nie na tém się zasadza, aby się wiatrom opiérać, lecz owszem, aby różne prądy powietrza, które we wszystkich prawie częściach powierzchni, w przeciwnych krzyżują się kierunkach, użyć za środek do nadania balonowi zamierzonego ruchu, i że chcąc żeglować w kierunku równoległym, należy wziąć kierunek prostopadły. Pochodzi to z bardzo prostéj przyczyny; gdyż aby balon w ciągłéj równowadze utrzymać, dość jest, módz dowolnie spuszczać się lub w górę wznosić, to jest: należy zostać zawsze w stosownym prądzie powietrza, i ani zbyt wysoko ani zbyt nizko nie płynąć. W tém polega cała tajemnica kierowania balonem, i to też było główném p. Hecke zadaniem, które on najszczęśliwiéj rozwiązał. Cały jego aparat jest bardzo pojedyńczy, i nie wygląda wcale tak dziwotwornie, jak wszystkie dotychczasowe machiny tego rodzaju. Można go jednem rzutem oka tak w ogóle jak w pojedyńczych szczegółach przejrzeć, a taki jeden rzut oka, dostatecznym jest do przekonania nas o niezbitej matematycznéj trafności całego urządzenia. Główną częścią balonu pana Hecke jest wynaleziony przez niego wóz napowietrzny, (*voiture aerienne*) którym właściwie balon zupełnie w moc żeglarza jest oddanym, tak, iż bez wyrzucania balastu lub wypuszczania gazu, można dowoli w górę lub na dół zjechać, i w odpowiedniéj warstwie powietrza naprzód płynąć. Aż potąd był balon główną rzeczą, a łódka u spodu, podrzędném narzędziem. Lecz przez to koń zawsze jeźdźca ponosił. Teraz stało się przeciwnie: łódka jest główną, balon pomniejszą rzeczą, a jazda napowietrzna, stała się największą łatwością.« — Wkrótce ma się odbyć w Brukseli publiczna próba z tą nowowynalezioną machiną.

Astronom i poeta. W pewném uczoném towarzystwie zgadano się o niedawno odkrytym planecie Leverrier'a, a jeden z obecnych młodych ludzi, gorliwy zwolennik astronomii, rozpływał się w uniesieniu nad ważnością tego odkrycia, będącego zaiste świetnym tryjumfem umiejętności. Całe towarzystwo zgadzało się na zdanie zapalonego mowcy, prócz kogoś, co jakby w roztargnieniu, obojętnie głową potrząsał. Wielbiciel astronomii postrzegł to z niechęcią, i zwrócił się do tego zimnego jegomości, pytając: »A pan że nie uznajesz wzniosłości tego odkrycia?» — »Jest ono w istocie pamiętne, lecz wzniosłem nie jest« — odpowiedział zapytany. Ztąd wszczęła się o tym przedmiocie sporna rozprawa, w ciągu któréj ów oziębły jéj podniecca, zupełnie biernie się zachowywał, lubo większa część głosów przeciw jego pozornemu indyferentyzmowi powstawała. Nagle powstał on, przystąpił do okna, otworzył je, i wyciągnąwszy rękę ku wieczornemu w całym swoim blasku, jaśniejącému, gwieździstemu niebu, rzekł:— »Widzicie tam panowie? Oto są wiszące ogrody z Semiramidy— czasu! Nie owe grody rajskie z drzewem poznania, które kiedyś znowu swoj owoc wyda—ani ogrody wieczności; bo te kwiaty niebios, te lasy pierwotne i olbrzymie krzewy powojowe, które planetami, stałemi gwiazdami i kometami zowiemy; są równie znikome, jak wszelka roślina ziemska; ich pora kwitnienia i owocowego dojrzenia, lubo milijony lat licząca, czémże ona jest w porównaniu z bezliczebną wiecznością? Czémże nawet owa droga mléczna w całej swéj rozciągłości, chociaż najmniejsza jéj plamka mglista, miarę wielu tysięcy naszych systematów słonecznych przewyższa; czémże ona, mówię, w porównaniu z nieskończonością téj rozstrzeni, która nie zna ni wschodu ni zachodu, ni północy ni południa, która jak czas, nigdzie się nie zaczyna i nigdzie nie kończy? — I jakże mogę tak drobne odkrycie ludzkie nazwać wzniosłem? O, moi przyjaciele! te błyszczące kwiaty, do ktorych ów motyl, duch ludzki, w swojéj gorącéj tęsknocie ku miodowéj słodyczy szczęśliwości, bez ustanku dąży, i pyłkiem okryte skrzydła swoje nuży; nie są bynajmniéj trwalsze niż owa ziemska róża miłości, w któréj kielichu, wieczorny motyl usypia! Nie, o nie! nam nie należy istotę Boga, boskiego wszechświata i wszechżycia, wystawiać sobie w takiém ograniczeniu, aby lada połyśnięcie jednego ziarneczka piasku u wybrzeży wieczności, już nas w zachwyt wprawiać miało. Wszystko, co tam na niebie dojrzéć możecie, jest tylko atomem bóstwa, jest nieskończenie zdrobnionym rozmiarem naszego przeczucia o wielkości całego niezmiernego bez kresów czasu i przestrzeni państwa bożego!

Szpak artysta. Znany wirtuoz na drómli, niejaki p. Koch, grając niedawno w pewném towarzystwie wiedeńskiém, upewniał, iż ma u siebie w domu szpaka, którego sam z gniazda wyjął i wychował, i który na prawdziwego artystę na drómli się wykształcił. Nie słysząc od najwcześniejszéj młodości innych tonów w pokoju, prócz tonów tak zwanych »arfy ustnéj«; starał się ten ptaszek swoim dziwnym darem naśladowania, od dać podsłuchane dźwięki metalowe. i doprowadził po roku tak dalece w swéj sztuce, iż zdołał omamić nie wtajemniczone osoby, które istotną drómlę słyszéć mniemały. Późniéj sprzedał p. Koch tego skrzydlatego artystę, jedynego znamienitego ucznia swéj szkoły, za dość znaczną kwotę pewnemu możnemu miłośnikowi.

Satyryczne angielskie pismo »*Punch*« przedrwiwa w następujący sposób ciągłe nadskakiwanie lorda Brougham dworowi francuzkiemu, i jego częste bywanie w Tuilleryjach: »Między Paryżem a Lodynem bieży co miesiąc mały wózek pocztowy, zwany Brougham, (tak nazywa się w istocie pewien rodzaj londyńskich kabryjoletów) i przyjmuje pakiety i drobne zlecenia. Warunki przyjęcia bardzo tanie. Bliższa wiadomość w Tuileryjach, u tylnéj fórtki.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.